

Apartamenty na Kolskiej, generalicja na Stawkach

Krzysztof Gottesman

Rozumiem, że wszystko się zmienia. Ludzie, ich gusty, Warszawa, język, ale gdy niedawno przeczytałem wielką reklamę zachęcającą do kupna „apartamentów na Kolskiej”, to mocno się zdziwiłem. Nie bardzo wiedziałem, czy to tak na poważnie, czy dla draki. Okazuje się, że jak najbardziej na poważnie.

Czytamy w reklamie, że klimatyczna enklawa powstała wokół starej Fabryki Koronek, co pozwoli na przyjemne spędzanie wolnego czasu; że zmotoryzowani mogą się cieszyć szybkim i prostym dojazdem do centrum, że blisko są galerie handlowe Klif i Arkadia.

Mój Boże. Kto to wymyślił? Apartamenty na Kolskiej. W Warszawie! I nie wiedzieć czemu, przypomniał mi się wierszyk z dzieciństwa:

*W słonecznym cieniu,
Na miękkim kamieniu
Siedziała młoda staruszka
I nic nie mówiąc – rzekła...*

Wierszyk miał kolejne, równie absurdalne zwrotki, niektóre nawet sami wymyślaliśmy. Słowem – oksymoron. Taki, jak apartamenty na Kolskiej.

No bo czym od kilkudziesięciu lat w Warszawie była i jest Kolska? Izba wytrzeźwień, żłobek, Hilton – różnie bywa nazywana. Ostatnia oficjalna nazwa to Stołeczny Ośrodek dla Osób Nietrzeźwych. Każdego roku trafia tu blisko 30 tys. ludzi. Najróżniejszych. Drobnych pijacków, dożywotnich już alkoholików, lemingów, hipsterów, robotników, profesorów, artystów, studentów. Łączą ich przedawkowanie, surowa procedura przyjmowania, je-

dyna w swoim rodzaju koszula nocna, kubek kawy rano, niemały rachunek, czasami wstyd. Jest też Kolska miejscem symbolicznym. „Wylądować na Kolskiej” – i nic więcej nie trzeba powiedzieć. Tak mówili też bohaterowie warszawskich pisarzy – Wiecha, Hłaski, Nowakowskiego i innych. Tu muszę złożyć stosowne oświadczenie, a nawet dwa. Pierwsze, że nigdy nie byłem gościem na Kolskiej. A drugie, że całkowicie się zgadzam z sądem, iż nie należy sobie dworować z pijaństwa i alkoholizmu ani traktować ich z przy-mrużeniem oka. Ja nie o tym.

Urodziłem się i całe życie spędziłem w Warszawie. Pisałem już tutaj kiedyś, że nie czuję się mocno z nią związany. Gdy czytam wspomnienia, zwłaszcza z życia w przedwojennej stolicy – też o tym tu pisałem – to zazdroszczę, że ich autorzy żywili uczucia, które mnie nie są dane.

Jest kilka adresów w Warszawie, które wywołują u mnie mocniejsze bicie serca. Dom przy Narbutta, niedaleko kina „Stolica” (dziś: „Iluzjon”). Tu spędziłem dzieciństwo. W „Stolicy” po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwy film. *Siedmiu wspaniałych* na zawsze zapamiętam. Niedawno zajrzałem na Narbutta i na ścianie swojego dawne-

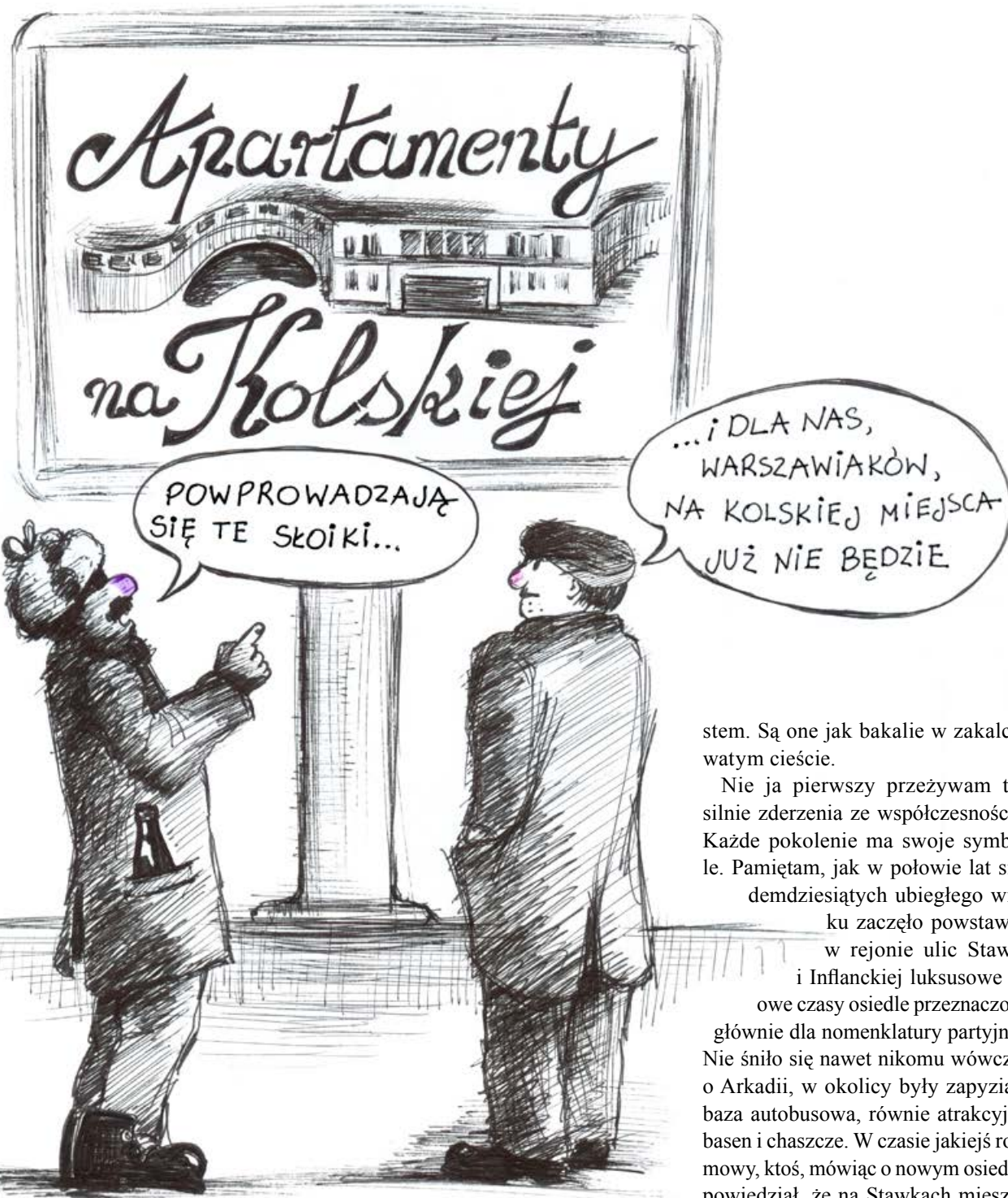
go domu dostrzegłem transparent ze słowem „Protest” napisanym wielkimi literami. Okazuje się, że budynek został sprzedany razem z lokatorami.

Wiele lat mieszkałem przy Wiejskiej. Najbliższa do dziś pozostaje mi księgarnia pod numerem 14. A mój dawny dom znalazłem na liście nieruchomości, wobec których są wysuwane roszczenia.

Nie zapomnę studenckich lat – 1974–1979 – spędzonych na Karowej w Instytucie Socjologii. To były naprawdę dobre lata, inspirujące, pierwszych doświadczeń politycznych, konieczności podejmowania ważnych wyborów.

Pamiętam siedzibę „Tygodnika Solidarność” z roku 1981 przy Batorego i swoją pierwszą pracę dziennikarską, pamiętam kilka kawiarni i knajp. Mam sentyment do pl. Zwycięstwa (dziś Piłsudskiego), gdzie jako porządkowy z KIK-u uczestniczyłem w pierwszej mszy papieskiej, a niedługo potem składałem „nielegalne kwiaty” i ganiałem się z ZOMO. Gdy przechodzę Piwną obok kościoła św. Marcina, stają mi przed oczami wnętrza klasztoru siostr franciszkanek, Maja Komorowska, nieżyjący już Tadeusz Kaczyński, ksiądz rektor Bronisław Dembowski i inni ludzie z Prymasowskiego Komitetu, w ramach którego pomagaliśmy uwięzionym w stanie wojennym.

Mam też kilka wspomnień związanych ze sportem. Pierwsze, gdy jako dziecko z ojcem i jego kolegami chodziłem na Stadion Dziesięciolecia na Memoriał Kusocińskiego i mecze lekkoatletyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Silniej związany jestem ze stadionem Legii przy Łazienkowskiej. Grotyński, Stachurski, Niedziółka, Zygmunt, Trzaskowski, Blaut, Deyna,



Rys. A. Szafranski

Brychczy, Żmijewski, Pieszko, Gadocha – te nazwiska zapisałem bez jednej chwili zastanowienia. Kim są? To jedenastka piłkarzy Legii z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, dla mnie najlepsza w historii. Jej mecze mam przed oczyma do dzisiaj.

Wśród ważnych dla mnie miejsc Warszawy jest też przywołana Kolska, z symboliką, o której pisałem. Dlatego tak zazgrzytała mi reklama z apartamentami. Mógłbym jeszcze długo wyciągać z pamięci rozmaite epizody. Ale całości bym z nich nie układał. Całości, czyli więzi z mia-

stem. Są one jak bakalie w zakalcowatym cieście.

Nie ja pierwszy przeżywam tak silnie zderzenia ze współczesnością. Każde pokolenie ma swoje symbole. Pamiętam, jak w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zaczęło powstawać w rejonie ulic Stawki i Inflanckiej luksusowe na owe czasy osiedle przeznaczone głównie dla nomenklatury partyjnej. Nie śniło się nawet nikomu wówczas o Arkadii, w okolicy były zapyziała baza autobusowa, równie atrakcyjny basen i chaszczce. W czasie jakiejś rozmowy, ktoś, mówiąc o nowym osiedlu, powiedział, że na Stawkach mieszka generacja. Ktoś inny, starszy oczywiście, pamiętający i przedwojenną generację, i przedwojenną ulicę Stawki, powiedział: „Mój Boże, generacja na Stawkach”.

Mój Boże, apartamenty na Kolskiej... ❄

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN